Na białostockiej scenie

„GODZIEN LITOŚCI“ A. FREDRY

Dobrze się stało, że do Białegostoku zawitał w ramach imprez „Artosu“ warszawski Teatr Powszechny z doskonałą fredrowską komedią „Godzien litości“. Białostocczanie rzadko mają bowiem okazję oglądać tak dobre przedstawienie, jakie dał zespół warszawski. Bezwzględnie przyjazd aktorów stolicy na gościnne dwutygodniowe występy jest wydarzeniem dużej wagi w życiu kulturalnym naszego miasta.

„Godzien litości“ — to satyra na zdeklasowaną szlachtę, której już tytuły przestają imponować, a jedynym jej celem życia staje się pieniądz. Właśnie typowi dla owych czasów są — Warski i złoty młodzieniec Erwin.

Erwin, mówiący o sobie „jestem godzien litości“, to wydrwigrosz, bazujący na kieszeni swego przyjaciela adwokata Dormunda, poczciwego, statecznego człowieka, stanowiącego w rzeczy samej jedyną pozytywną postać sztuki. Erwin stroni od wszelkiej pracy. Gdy na swej drodze spotyka Antoninę Warską, widz nie jest przekonany o jego szczerej miłości do młodej dziewczyny, a w każdym razie do ostatniej chwili nie ufa temu złotemu młodzieńcowi.

Antonina przekonywa swoją miłością, pokonywa także swoją, nieco źle pojętą, chęcią emancypacji, usamodzielnienia się.

Jasne, że widz współczesny zada sobie pytanie: co będzie z młodymi po ślubie, na który zgadza się ojciec Antoniny w ostatniej scenie? Czy młody człowiek nie przetrwoni tak pilnie strzeżonego przez Warskiego posagu swej żony?

Wspomniałem o Dormundzie, jako jedynej pozytywnej postaci w pełnym tego słowa znaczeniu. Dormund to adwokat, spokojny, uczciwie zarabiający na życie i posiadający niewielki spadek po matce, który topniał pod „złotą rączką“ jego przyjaciela Erwina. Adwokat przypadkowo, w mieszkaniu Warskiego spotyka swoją dawną miłość Laurę Łęcką, młodą wdówkę, kuzynkę Warskich. Wynikają perypetie komediowe i cały konflikt kończy się pomyślnie.

*

A teraz co do wykonawców.

Oprawa sceniczna Kazimierza Oręczkowskiego jest dobra i staranna, oddająca w pełni atmosferę wnętrza mieszczańskiego domu.

Zespół jest doskonale zgrany, co jest niewątpliwą zasługą reżysera Danuty Pietraszkiewicz.

Z wykonawców na szczególne wyróżnienie zasługują: Jan Orsza — w roli Warskiego, doskonale wczuwający się w odtworzoną postać, przekonywający i w pełni zadowalający wyobraźnię widza oraz Bogdan Szymkowski, świetnie kreujący Dormunda. Ta rola należy bodaj do najtrudniejszych pod względem psychologicznym. Aktor w pełni jej podołał.

Dalej Ewa Pachońska w roli Laury i Irena Stelmachówna w roli Antoniny — są wdzięczne i prawdziwe.

Teodor Gender, jako Erwin w pierwszych scenach nie potrafił przekonać i nieco sztucznie oddawał swoją „sztuczność“ wobec przyjaciela. Za to w scenach dalszych „rozegrał się“, podciągając swą rolę do właściwego poziomu.

*

Fredro jest ciągle żywy i aktualny

Dzisiejszy widz patrzy jednak z niesmakiem na intrygi i miłostki ludzi ubiegłego stulecia, na „styl“ tych miłostek i „styl“ bycia ówczesnej zdeklasowanej szlachty. Praca? — nie, to pojęcie nie dla nich, nawet młoda Antonina oburza się na złudną propozycję Erwina, by „gdzieś w obcych krajach żyć z pracy rąk“. Jedynie Dormund może się cieszyć sympatią współczesnego widza.

Musimy poznawać „prawdę“ owych czasów, by konfrontować ją z dniem dzisiejszym.

Dlatego też wydaje się słuszne, że powinniśmy nasze miasto zapoznawać z treścią innych sztuk Fredry i to w takim wykonaniu, jakie zaprezentował nam zespół warszawskiego Teatru Powszechnego.

Porównanie tej przeszłości z naszą dzisiejszą rzeczywistością, to jeszcze jeden więcej radosny sprawdzian, że jesteśmy na właściwie obranej drodze, wiodącej do socjalizmu.

Włodzimierz Witkowski